Nr. 8. 1890 r. **Ogólnego Wydawnictwa Rok XIII.**

GONIEC i ISKRA

Dziennik dla wszystkich, illustrowany.

Lwów, dnia 1. Grudnia 1890 r.

Goniec i **Iskra** wychodzi trzy razy na miesiąc: 1, 10. i 20. każdego miesiąca. Nadto, prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują dodatki *bezpłatne* wychodzące nieperjodycznie. Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie 4 złr., rocznie 8 złr. W poznańskiem i w Niemczech 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryc e południowej, w Brazylji, Australji i innych krajach zaoceanowych 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Nadesłane po 20 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych.* — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora. — Numer pojedyńczy kosztuje **25 centów.**

Właściciel i naczelny redaktor: ***M. D. Chamski.***

Posłowie na Sejm krajowy.



Dr. Juljan Olpiński.

(Rysowane z fotografji Mieczkowskiego. Patrz artykuł na odwrotnej stronnicy pod tym samym tytułem).

Dla Panów Prenumeratorów w Ameryce.

Wielu z abonentów naszych w Ameryce zalega w prenumeracie — prosimy ich więc uprzejmie na tem miejscu, aby zaległą prenumeratę odesłali, jak najprędzej, bo takie zaległe rachunki robią wydawnictwu różnicę. Na opaskach przesłanych numerów, umieszczona jest notatka, ile wynosi zaległość i odkąd. Pieniądze najdogodniej przesełać dollarami papierowymi w listach rekomendowanych, albo wreszcie przekazem pocztowym Do Administracji „Gońca i Iskry“ we Lwowie.

Administracja ma przekonanie, że wyzyskiwaną przez rodaków w Ameryce nie będzie.

Od Ekspedycji.

Do dzisiejszego numeru dołącza się osobny nadzwyczajny dodatek całkowicie illustrowany.

Dr. Juljan Olpiński.

Poseł na Sejm.

(Do portretu).

Zamieszczamy w dzisiejszym numerze wizerunek posła, należącego do lewicy, w sejmie, który, wprawdzie, dopiero od lat dwóch wybrany został z okręgu trembowelskiego z mniejszych posiadłości posłem, ale który w sejmie, ze względu na swoje fachowe, lekarskie wykształcenie, oraz na powszechne zaufanie, jakiem się cieszy wśród rusinów i polaków w swoim powiecie — zajmuje bardzo wybitne stanowisko. Okręg trembowelski, do którego się wlicza i miasto Trembowla, jako okręg mniejszych posiadłości, jest przeważnie złożony z włościaństwa rusińskiego, wybór zatem dra Olpińskiego, na którego głosowali wszyscy rusini, możnaby niemal uważać za jednogłośny, a przynajmniej taką dokonany większością, że może być uważany za zupełny wyraz tamtejszej opinji publicznej. Dowodzi to wielkiej wziętości dra Olpińskiego, wśród swoich współobywateli, wziętości i zaufania, które sobie umiał zaskarbić na stanowisku burmistrza Trembowli i lekarza, tak dalece, że wybrano go swoim rzecznikiem na sejm krajowy pomimo, że contra kandydat hrabia Jerzy Dunin Borkowski nie małe stawiał trudności. Istotnie, dr. Olpiński, jako obywatel i patrjota, pod względem gorliwości w wykonywaniu obowiązków publicznych, może być stawiany za wzór, a Trembowla, jako swemu naczelnikowi i okolica, jako lekarzowi ma bardzo wiele do zawdzięczenia. Dr. Olpiński wydał bardzo pożyteczne i z wszechstronną znajomością, zdolnie napisane dzieło — jestto *Zbiór ustaw i rozporządzeń zdrowotnych,* obowiązujących w Galicji. Dzieło to obejmuje cztery tomy i ułożone jest porządkiem chronologicznym. Jest ono niezmiernie pożytecznym podręcznikiem, w którym znajdują się wszelkie wyczerpujące informacje i szczegóły, dotyczące zdrowotności. Dr. Olpiński jest członkiem korespondentem krakowskiego towarzystwa lekarskiego, członkiem towarzystwa lekarzy galicyjskich we Lwowie i członkiem honorowym biblioteki uczniów wydziału lekarskiego w uniwersytecie jagiellońskim. Jako obywatel i poseł dr. Olpiński wyznaje przekonania demokratyczne, tego jednak rodzaju, zakresu i celu, które mu zjednywają niepodzielny szacunek i uznanie szlachetnego człowieka nawet wśród tych, którzy są innych zapatrywań na życie i tok spraw publicznych. W komisjach sejmowych dr. Olpiński ze względu na swoją wiedzę, spokój i pracowitość jest siłą dodatnią w najobszerniejszem pojęciu tego znaczenia i można powiedzieć bez żadnej przesady, że dr. Olpiński, jest jednym z najlepszych synów ojczyzny, którzy swoją wiedzę, czas, pracę, dobrą wolę i dobrą wiarę z całym patrjotyzmem poświęcają na to, aby być użytecznymi członkami społeczeństwa i służyć całą duszą swemu narodowi.

W rocznicę 1830—1831.

Przykłady męstwa i poświęcenia wojska polskiego.

Szkice historyczno-anegdotyczne.

Ludwik Mycielski.

O niezrównanej odwadze i waleczności tego męża przy zdobywaniu Olszynki dnia 25. lutego 1831 r. Barzykowski w swej Historji powstania listopadowego“ tak się wyraża: „Obok Bogustawskiego, wiodącego czwartaków do szturmu, widać jakąś figurę w mundurze żołnierza prostego, lecz którego rysy twarzy, kibić, układ i wszystkie ruchy zdradzają człowieka z wyższej klasy towarzystwa. Był to Mycielski, obywatel zamożny z Księstwa Poznańskiego, mąż uwielbiany od nadobnej żony, ojciec szczęśliwy pięciorga dziatwy. Na odgłos powstania, jakby o wszystkiem zapomniał, wszystkiego się wyrzekł, sercu milczeć nakazał i pospieszył, gdzie ojczyzna wzywała. Nie szukał rang i stopni, tylko za ojczyznę walczyć pragnął, z jej odwiecznym wrogiem bić się żądał. Wszedł, jako prosty żołnierz do pułku czwartego, którego reputacja była mu zaręczeniem, że do najtrudniejszych spraw wojennych użytym będzie. Kolumny nasze śmiałym krokiem naprzód postępują, artylerja nieprzyjacielska, na wzgórzach Kawęczyna ustawiona rzęsisty sypie ogień, i przystęp do lasku wzbronić usiłuje. Lecz nadaremne usiłowanie; nasi niezachwiani posuwają się. Piechota nieprzyjaciela występuje na początek lasu i ogniem rotowym ich przyjmuje. Skrzynecki nie kazał odpowiadać, strzału dawać; „naprzód!“ tylko zawołał „naprzód!“ powtórzył Bogusławski i kolumna maszeruje. Mycielski ranny w rękę; jest to pierwsza jego rana; drugą ręką spokojnie zdejmuje chustkę z szyi, ranę nią zawiązuje i dalej do boju spieszy. Mordercza walka wszczyna się; wpierają się wzajemnie i wypierają. Trzykroć nasi wdzierają się i trzykroć cofać się muszą. Mycielski, po drugi raz ranny w nogę, oddziera kawał podszewki od munduru, zaopatruje nią ranę i do boju wraca. Skrzynecki, wyniosły wzrostem, wyniosły i męztwem, podnosi się, jak sztandar wśród swoich i silnym głosem woła: „na bagnety!“ „Na bagnety!“ powtarza waleczny Bogusławski, i Olszyna bagnetami się jeży. Nieprzyjaciel już oprzeć się nie może; trupami zaściela pobojowisko, i w nieporządku z lasu uchodzi. Polacy są panami lewej strony Olszyny. Mycielskiego trzecia kula w pierś uderza; pada wtedy i jak bohater śmiercią kończy.

Ksiądz Loga.

Od Bielska wzięliśmy się, opowiada w swych pamiętnikach M. Jackowski w prawo ku puszczy Białowieżkiej. Przy samej puszczy, przy wsi Hajnowszczyźnie, nieprzyjaciel w sile jednego pułku piechoty z dwoma działami i trzema szwadronami jazdy szedł na uspokojenie tamtejszych mieszkańców. General Chłapowski, korzystając z sekretu, w jakim swe marsze odbywał, z trzema szwadronami pierwszego pułku ułanów, ze stoma ludźmi pierwszego pułku strzelców pieszych i dwoma działami lekkiemi pod dowództwem mężnego oficera Janusza Czetwertyńskiego, wpadł niespodzianie na nieprzyjaciela, złamał jednym szwadronem jazdy czworobok piechoty, zabrał w niewolę majora, kilku oficerów, kilkuset żołnierzy i jedno działo z jaszczykiem. Z naszej strony straciliśmy podporucznika Jakóba Grotkowskiego z 10 pułku piechoty liniowej, podoficera Józefa Jabłońskiego z 1 pułku ułanów i pięciu żołnierzy; ranni zaś byli: szanowny ks. kanonik Loga z jazdy poznańskiej i porucznik Potworowski.

O księdzu Lodze podaje Barzykowski następujące szczegóły, mówiąc o tej potyczce. „Na czele szwadronu tego stanął mąż, poważny kształtem i strojem. Młody, wysmukły, z włosem długim, na barki spadającym o licach bladych, okiem pełnem życia w stroju długim w czarnej sutannie, przykrytej komżą, z stułą na szyi, a na piersiach z szkaplerzem. W lewym ręku jego krzyż, w prawym pałasz. Z ust zaś jego takie słowa biegły: Bracia, za wiarę i Ojczyznę, za Boga i wolność, dzisisj zginąć, lub zwyciężyć potrzeba! — Był to ksiądz Loga.

Wielki ten patrjota poległ w bitwie pod Szawlami. dnie 8 lipca 1831 r. Przyłączył on się do batalionu Jarony, z siódmego pułku i przykładem swoim pobudzał do cudów waleczności. Wtem pada koń pod nim, on zaś chwyta za karabin, spieszy naprzód i ginie wśród najgęstszego ognia. Z tem drogiem życiem pewne zwycięstwo odbiegło nagle naszych.

Zabiełło i Doniec.

Z Lidy posuwał się dnia 5 czerwca Chłapowski na Orawy i Stokliszki ku Kiejdanom. W czasie pochodu tego dowiedziawszy się jenerał, że w Użugościu znajduje się oddział kozaków, wysłał tam pluton pierwszego pułku ułanów, pod komendą porucznika Zabiełły, a za nim oddział strzelców celnych.

Zabiełło nie oglądając się za piechotą kopnął się zaraz z miejsca i wkrótce dopadł do dworu. „Na dziedzińcu, opowiada Goczałkowski, stało do 30 koni, poprzywiązywanych koło płotu; kozacy pili i plądrowali w dworze, ale skoro ujrzeli naszych, powitali ich z okien rzęsistym ogniem z janczarek, tak, że zaraz kilku spadło z koni, a inni mięszać się poczęli. Widząc to Zabiełło, ranny w rękę, zawołał: „z koni“— i szturmem wali się do dworu.

Wtedy dońcy wypadają z szablami w ręku i nacierają na naszych, którzy już zaczęli tył podawać, odbiegając dowódzcę swego.

Zabiełło, słabo już tylko mogąc się bronić, byłby tu niezawodnie poległ, gdyby naraz stary brodaty oficer kozacki, nie był go zasłonił osobą swoją.

Gdy się to dzieje, nadciągają cichaczem strzelcy nasi i znienacka, z poza płotów, jak sypną gradem kul na rozsypanych po

dziedzińcu kozaków, jak się wtedy i ułani odwrócą, tak z owych trzydziestu, położyli większą połowę trupem, a resztę po swojemu zaczęli obrabiać lancami. Między tymi znalazł się także ów oficer kozacki, już prawie pod ręką jednego z naszych. Ujrzawszy to Zabiełło, krzyknął, że to jego zbawca i kazał go puścić na wolność.

Zapłakał na to rzewnie poczciwy doniec; pochwycił rękę Zabiełły, przycisnął ją do ust i przysiągł, że odtąd chce zostać jego najwierniejszym sługą; a że los wojny zrobił go jeńcem, więc, żeby niejako swemu zbawcy wywdzięczyć się, prosił Zabiełły, aby od niego przyjął na pamiątkę najdroższy, jaki posiada skarb — konia...

A gdy niedługo jakoś potem wypadł nam marsz przez obszerne majętności rodziców Zabiełły, na usilne prośby jenerał Giełgud zostawił im owego dońca, któremu zawdzięczając ocalenie syna, do śmierci wygodny i spokojny chleb zapewnili.

Opowiadanie majora wojska polskiego, o dzielnym żołnierzu, Jaśku Mulecie.

Byłem wtenczas w kadetach, kiedy to pamiętna wybuchła rewolucja warszawska. Ani chwili się nie namyślaliśmy, co zrobić w obec głosu ojczyzny, wzywającej pomocy. Cała szkoła wyruszyła, gdzie najdroższa ją sprawa wołała. Ja służyłem krajowi, w pierwszym pułku krakusów krakowskich. Co to za dziarska była młodzież, co za chwaty chłopaki! Bo też ogólny był zapał, od komnat pałacowych, do chaty wieśniaczej — jedno hasło: wypędzić wroga z kraju! Kto tylko czuł się na siłach, ten podążał do szeregów, czy pan włości, czy mieszczanin, czy chłopek. Nakazano, aby ze wsi po jednym ochotniku brano z 50 dymów, a tu, 20—30 przybywało w szeregi dymników, aby na ochotnika bić moskala. A były to chwaty chłopacy, ustawicznieby się tylko bić chcieli, z taką też armją tylko można było takich cudów w bitwach dokazywać, żołnierz nasz nie pytał: ile jest wroga, ale gdzie on jest? — Były czasem i niewygody, ale jak to w tym czasie, na to żołnierz był wyrozumiały, gorzej było z końmi, bo tym na niczem zbywać nie mogło. Pamiętam było to w kwietniu 1831 roku byliśmy w marszu pod Stoczkiem, gdy nam zabrakło żywności i dla ludzi, i dla koni. Trudne to było położenie, silniejsze oddziały można tylko było wysłać w okolicę, bo o milę drogi było lewe skrzydło Dybicza. Nasz porucznik Oraszewski z I. pułku krakusów krakowskich, dostał nakaz, aby się starał o siano dla całej dywizji. Wybrał się więc w marsz z plutonem (44 koni), i prawie o milę drogi od forpoczt rosyjskich spostrzegł na polu stogi siana. Nic pilniejszego, jak ze wsi pościągać podwody, nakłaść siana i w nogi. Ledwo jednak pierwsze wydał porucznik rozkazy, gdy wieśniacy donoszą mu, że tuż za wsią moskale się zbliżają. Porucznik posłał zasięgnąć języka, a przekonawszy się, że znacznie jest więcej moskali, jak jego plutonu, wydał rozkaz do odwrotu. W tem zamieszaniu cofając się, zapomniał porucznik żołnierza, nazwiskiem Mulet, któremu imię Jan, a był to syn chłopka z Niegowonic z olkuskiego. Piękny to był z rysów twarzy i bardzo miły towarzysz, to też nie nazywaliśmy go, inaczej, jak: ładny Jasiek. Tego Jaśka zgubił porucznik; chce się cofnąć z plutonem do wsi po Jaśka, ale ćma moskali, niepodobieństwo narażać pluton na śmierć niechybną! Tymczasem Jasiek gospodarzy w stogach pod lasem, jakby, ani jednego moskala we wsi nie było; chłopi perswadują mu, aby się nie wystawiał na moskiewskie kule i podążył za plutonem, ale Jasiek im odpowiada: nie ma tu porucznika, więc ja komenderuję. Słuchajcie! Ja pojadę na trakt, wy tu zostańcie, a gdy wam dam znak, to krzyczcie z całego gardła: hurra! hurra! Pędzi Jasiek na drogę, moskale go zoczyli, Jasiek wywija pałaszem, poczciwi wieśniacy, jak nie rykną hurra! hurra! to aż las zadrżał. Odgłos odbił się w lesie tak silnie, że moskale sądząc, iż naszych co najmniej tyle co ich, dali drapaka. Spokojnie dalej nakładali wieśniacy siano i 30 fur zawieźli do Stoczka, gdzie z sztabem stał jenerał Jankowski. Wszyscy otoczyli Jaśka, przybył i porucznik Oraczewski, który już go miał za straconego. Jenerał dziękował chłopom za ich życzliwość i przywiązanie do ojczyzny. „Jaśnie jenerale — rzekł jeden z tych poczciwych chłopów — myśmy spełnili nasz obowiązek, bo Polska tego od nas wymaga, ale przytomność umysłu i odwaga tego krakusa uratowała siano i nas, i jego.“

Dowiedziawszy się jenerał, jakim fortelem Jasiek w pole wywiódł moskali — przyrzekł mu krzyż w dowód zasługi. Panie Jenerale — rzekł Jasiek — z wdzięcznością i posłuszeństwem żołnierza przyjmuję tę honorową oznakę, ale... ale... „No cóż takiego — rzecze jenerał — mów śmiało!“ Otóż — panie jenerale, gdym się dowiedział, że ojczyzna woła ratunku, poprosiłem matki o błogosławieństwo i z niem pospieszyłem do obozu zostawiwszy w domu staruszkę matkę i siostrę bez grosza, bez utrzymania; proszę dla nich o mały datek, choćby z mego traktamentu zaliczkę.“ Jenerał, wzruszony tem przywiązaniem synowskiem, spojrzał dokoła i — panowie — zawołał — daję czerwieńca (18 złp). poruczniku Paprocki obejrzyj się na więcej. W jednej chwili każdy z otaczających sięgnął do kieszeni, a Paprocki przez umyślnego posłańca posłał matce Jaśka sumkę, która dobrze wystarczyła już na utrzymanie.

Kiedym awansował na oficera, miałem w moim oddziale tego dzielnego Jaśka, którego, jako chwackiego żołnierza bardzo pokochałem. Bo też było co pokochać, tego szlachetnego i walecznego żołnierza. Cofał on się ze mną od rejterady z pod Bolimowa pod mury Warszawy, a w wszystkich wycieczkach na moskala zawsze Jasiek był pierwszy. Kiedy moskale przypuścili szturm na Warszawę, pułk nasz pilnował 40 lekkich dział. Bohatersko się broniliśmy, pierwszego dnia kilka razy szarżowaliśmy na Moskwę. Jasiek dzielnie się bił, drugiego dnia przy czwartej szarży dzielny ten żołnierz, ciężko ranny w głowę i straciwszy trzy palce u prawej ręki, został odniesiony do lazaretu. Powszechny żal ogarnął nas na tę smutną wiadomość.

Jan Mulet doczekał się późnej starości. W roku 1863 chciał się połączyć z powstańcami, ale dla podeszłego wieku nie mógł tego zamiaru wykonać. Gromada we wsi Niegowonicach, zkąd Mulet był rodem, wyposażyła jego córkę, uznając zasługi ojca, a gdy wiarus życie zakończył, uczciła go wspaniałym pogrzebem.

O Czechu Faustynku, który celnymi strzałami sprzątał moskali.

W powstaniu 1831 r. odznaczyły się świetnie cztery bataliony wolnych strzelców, w których skład wchodzili borowi, myśliwi i w ogóle ludzie, którzy się umieli obchodzić z bronią palną. Byli oni postrachem moskali z powodu celnych strzałów. Do najcelniejszych strzelców należał major Kuszel, gdyż kiedy strzelił np. do utkwionego noża, kula rozcinała się na dwoje. Wypuszczał czasem dwa gołębie w powietrze, związane za nóżki sznurkiem. Gdy się dość wysoko wzbiły, przecinał kulą łączący je sznurek. Mimo to przesadził Kuszla szesnastoletni chłopiec, pochodzący z Czech, który tak silnie strzelał, że posądzano go o czary i dlatego nazwano go Faustynkiem, t. j. małym Faustem, który u niemców jest tem, czem u nas Twardowski. Strzelcy celni najczęściej w tyraliery rozpuszczani bywali; w takim razie za Faustynkiem stawało ich dwóch i ci mu broń nabijali, a on strzelał ciągle. Szczególnie byli oni postrachem kozaków, na forpocztach stojących, którzy ich ptasznikami zwali; długo nie wiedzieli oni, że ci dubeltówki mają, to też po pierwszym wystrzale rzucali się na nich, a ci z drugiej lufki dawali ognia rzadko nadaremnie. Później ostrożniejsi byli i póki taki strzelec nie wypalił obu nabojów, żaden kozak natrzeć na niego nie śmiał. Ależ pomimo tej oględności potrafił ich oszukiwać przemyślny Faustynek: bo kiedy chciał sprzątnąć jakiego kozaka i podsuwał się do niego, to w wielkiej odległości strzelał z jednej lufki, potem zręcznie wyrywał pistolet z kartuszy i palił znowu, w tedy kozak, nie chcąc mu dać czasu do nabicia broni, pędził do niego; ścigany uciekał niby, a jak kozak zbliżył się na strzał, odwracał się i z drugiej lufki zsadzał go z konia.

Naprzeciw owej łączki, którą zajęli strzelcy, na polu widne były poustawiane szychty kamienia do naprawy szosy przygotowane, a koło jednej z takich kręcił się atamaniec w ponsowym swoim mundurze; pikę miał czerwono malowaną i janczarkę na plecach, a siedział na białym koniu. Te jasne kolory jaskrawo odbijały promienie chylącego się do zachodu słońca i, jakby jaki ognisty meteor, świeciły przed oczami patrzących.

— Ach żeby można sprzątnąć tego huncfota, zawołał jeden z oficerów, dałbym coś za to.

— Zapewne! odrzekł drugi, jabym i dukata nie żałował, ale cóż mu zrobisz w tej odegłości? a pierwszy przyznał, że to były pia desideria.

Posłyszał te żądania Faustynek, postępując do mówiących:

— Niech się panowie oficerowie złożą na mnie, a ja go zmiotę, jak dubelta! mówił z uśmiechem.

— Ale jakimże sposobem? powiedz!“ mówili, przecież w czystym polu podejść ci się nie da.“

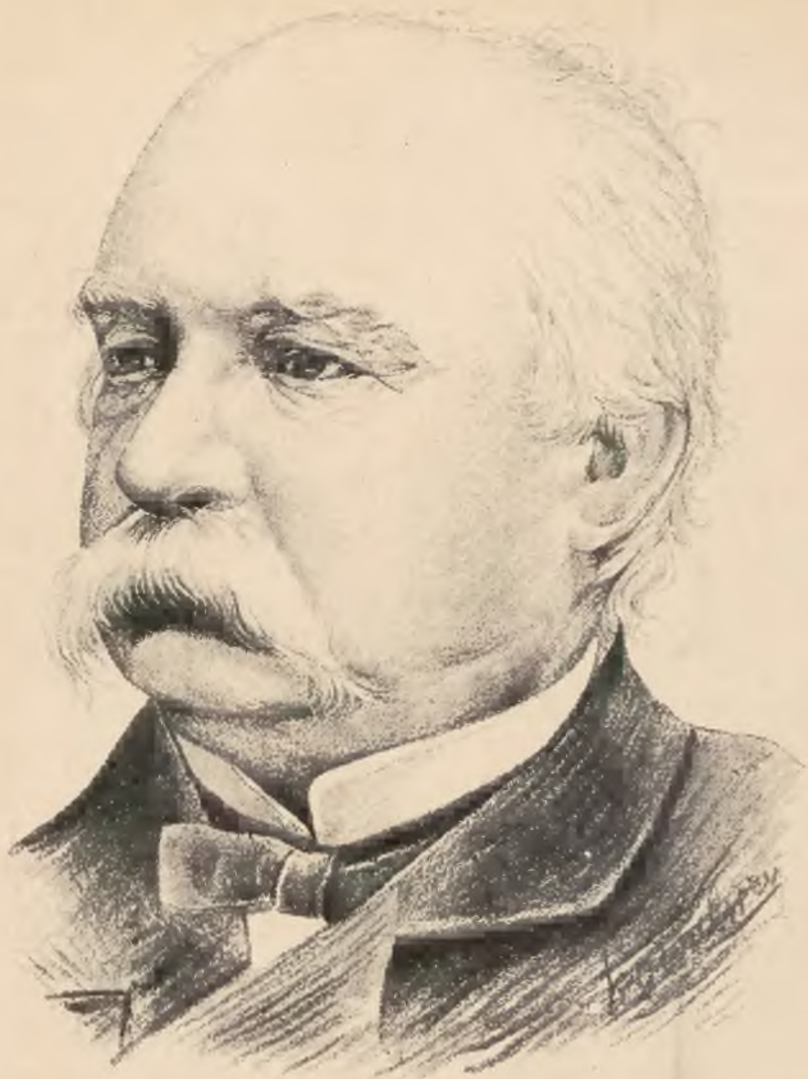
— Już ja sobie poradzę, mówił, chłopiec z rodzajem pewności, a ta jego propozycja doszła do uszu pułkownika.

Nie chciał on z początku zezwolić na to.

— Nim ty kozaka, mówił, kozak ciebie sprzątnąć może, bo ty wiesz przecie, jak ich broń daleko niesie.

Pomimo tych uwag, chłopak trwał przy swojem; oficerowie znowu rachowali na szczęśliwą gwiazdę jego, a Kuszel ulegając ogólnym naleganiom, zezwolił w końcu; i zaraz oficer, co to dukata ofiarował, zdjął kaszkiet:

— Panowie!“ zawołał, na wyprawę Faustynka składki; i rzucił holendra, a że



Ś. p. Jan Kanty Gregorowicz.

Redaktor warszawskiego »Przyjaciela Dzieci« i »Tygodnika mód i powieści.«

(Rysowane z warszawskiej fotografji. Patrz Nr. 1 „Gońca i Iskry", gdzie jest zamieszczony życiorys zmarłego w *Kronice żałobnej).*

nikt się nie wymówił, parę set złotych miało być zyskiem zwycięzcy.

Słysząc, jak sowita czekała go nagroda uśmiechał się chłopak, starannie opatrzył broń, nabił ją, potem zarzucił strzelbę na ramię i skłoniwszy się oficerom szedł prosto na ową szychtę, obok której stał kozak. Ujrzawszy idącego ku niemu strzelca, zaczął on ujeżdżać na prawo z okiem wlepionem w niego, a kiedy Faustynek dochodził do kupy kamieni, kozak widząc się w takiej odległości, że kula prawdopodobnie dosięgnąć go nie mogła, stanął i pilnie śledził każdy ruch przeciwnika. Faustynek usiadł na szychcie, obejrzał broń, potem się złożył, dał ognia; a nim się dym rozszedł, wyciągnął pistolet i wypalił. Po pierwszym strzale zachwiał się kozak, bo mu kula widać koło uszu świsnęła. Chwilę popatrzył na chłopca, który powstał i gotował się broń nabijać. Widząc to kozak. zdjął z pleców janczarkę, sparł ją na siodle, a kiedy strzelił, chłopcu broń z ręki wypadła, uchwycił się za pierś, potem zatoczył się, upadł i, jakby ostatnie wysilenie, nogami rzucił kilka razy.

Na ten widok, okrzyk boleści wydał cały batalion, a kozak dosiadł konia i pochylony na siodle pędził żeby obedrzeć zabitego.

Był już o jakie pięćdziesiąt kroków od niego, gwałtownie zerwał się na nogi, błysnęła dubeltówka w jego ręku, strzelił i zaraz padł na ziemię kozak, a koń stanął i wąchał powalonego jeźdca. W kilku skokach był Faustynek koło leżącego, wskoczył na konia i biorąc się za boki: Ha! ha! ha! zaśmiał się głośno. Cały batalion, jakby eden człowiek chórem powtórzył śmiech Faustynka, a wesoły ten okrzyk odbijało echo dąbrowy. Łatwo pojąć, z jaką radością przyjęli strzelcy wracającego na kozackim koniu kolegę.

Kuszel awansował go na podoficera, i do krzyża przedstawił. Jakoś na drugi dzień przybył adjutant wodza naczelnego i przed frontem batalionu przypiął mu go na piersiach; a uszczęśliwiony chłopiec, ozdobiony i obdarzony, stał się ulubieńcem całego oddziału.

W tylu będąc spotkaniach, zawsze w najtęższym ogniu, nigdy nie tknięty nawet, ufał on w szczęście swoje i narażał się niesłychanie.

W kilka dni po tym wypadku, byliśmy pod wsią Jakacja; jest tam grobla długa, na niej most, który zrzucili byli moskale a naprawić go było trudno, bo za groblą stała baterja rosyjska, która ją ostrzeliwała. Batalionowi Kuszla dano więc rozkaz spędzenia jej. I zaraz zrzucili oni obuwie, rozpięli nogawice rajtuzów, zarzucił je na ramiona i brnąc po błocie weszli w łozy, przebyli rzeczkę i znowu zakryci łozami podsunęli się pod baterję. Kwadrans zaledwie trwał ogień, kiedy umilkły działa: bo wszystkie konie i ludzie z małym wyjątkiem wybili strzelcy, nie było więc, ani komu, ani czem dział uprowadzić.

Zaraz potem rzucili się saperzy do stawiania mostu, a strzelcy wracali na dawne stanowisko. Żadnej oni straty nie ponieśli, brakowało tylko Faustynka, bo ten, jak mówili koledzy jego, z umysłu pozostał w tyle Zdziwlony tem Kuszel, kazał jednemu ze strzelców wleść na wierzbę, z tamtąd bowiem ponad łozami widzieć można było, co się dzieje z zuchwałym chłopcem.

Patrzący z drzewa ujrzał zbliżającego się ku miejscu, gdzie stała baterja jakiegoś sztabsoficera od kwatermistrzowstwa, obok niego był oficer od huzarów, za nimi trzech żołnierzy, przed łozami zaś na suchej już łące za krzakiem siedział zaczajony Faustynek. Jadący stanęli nad łąką, a on, sztabsoficer przez lunetę patrzał na położenie armji polskiej. kiedy rozległ się wystrzał, przypatrujący się spadł konia, oficer zaś i trzech huzarów poskoczyli do krzaku, nad którym dym się unosił.

Uciekaj na błoto! wołał siedzący na drzewie, ale zuchwały chłopak zerwał się na nogi, złożył się, strzelił i oficer przez łeb koniowi upadł, a trzej husarze dobiegali do krzaka.

Uciekaj w łozy! ozwał się znowu głos z drzewa, ale napróżne było to wołanie; zaufany w pewność swego strzału, wyciągnął on pistolet, o kilkanaście kroków palnął do huzara i tego trafił, potem z drugiego mierzył do następnego, a kiedy ściągnął cyngiel, błysło tylko na panewce, pistolet nie wypalił, a huzary w tej chwili dopadli i zarąbali bezbronnego.*)

Po przejściu grobli żołnierskim pogrzebem uczczono zwłoki dzielnego strzelca a łzy wiernych towarzyszy skropiły mogiłę Faustynka.

Generał Kicki.

O męstwie i wspaniałomyślności Kickiego, przy starciu się pułku jego i bitwie grochowskiej, z wybornym pułkiem kirasjerów księcia Albrechta, którym dowodził Majendorf, Barzykowski tak pisze:

„Kicki, gdy ujrzał zapęd nieprzyjaciela, dał ostrogę koniowi i przed frontem stanął. Hoży, nadobny, kawalerskiej postawy, twarz wesoła, oko pełne życia, rzekłbyś, iż w koło taneczne staje. Szybko dobywa pałasza nic nie mówi, tylko pałaszem na wroga wskazuje i woła: „baczność — stępo — naprzód marsz!"

Parsknęły rumaki pod jeźdzcami, powionęły proporce i już brygada w marszu. Niezadługo słychać „marsz, marsz!" pędzi pułk drugi, a Gawroński za nim pospiesza. Grot polski z mieczem moskiewskim, pierś polska bez zasłony z piersią moskiewską, stalą pokrytą ma sie zmierzyć. Uderzają na siebie. Dwie chmury starły się; minutę, dwie, cztery — nic nie widać, tylko tuman kurzawy pod obłoki się wznosi, a szczęk broni słychać. Chwila to walki i niepewności. Nakoniec Moskwa złamana, tył daje. Pułk kirasjerów rozbity, jedni polegli śmiercią walecznych, drudzy wzięci do niewoli, resztą coprędzej uchodzi. Kicki w pogoń za nimi. Tam jednego uchodzącego ściga i już mieczem nań się zamierza, kiedy uchodzący się obejrzał, a był to Majendorf, znajomy, towarzysz tylu warszawskich wspomnień. Kicki konia zatrzymał, pałasz opuścił, Majendorf uszedł. Lew — polak w boju, niewiasta, dziecko w zwycięztwie, a we wszystkiem — wychowaniec serca."

Od ręki.

= Kronika żałobna.

Garść wspomnień osobistych rzucamy na świeżą mogiłę zmarłego w zeszłym tygodniu

*) Pan Ignacy hr. K., b. adjutant jen. Unińskiego znał dobrze Faustynka i widział, jak z wiatraka z dwóch dubeltówek trzech zabił kozaków.

ś. p. Arkadjusza Kleczewskiego we Lwowie. Założyciel i redaktor *Kurjera Świątecznego* w Warszawie, następnie *Djabła* w Krakowie — dawniej, gdy życie rozpierało młode piersi, był utalentowanym i ciętym humorystą — potem, przygnębiony troskami codziennego życia, stał się zwykłym pracownikiem dziennikarskim bez rozgłosu, a nierzadko, bez chleba... Pochodził z Płockiego, gdzie ojciec jego był naczelnikiem powiatu lipnowskiego. Ożenił się z córką pułkownika kozackiego — wychowywał dzieci po katolicku i po polsku — i z tego powodu musiał z całą rodziną uciekać do Krakowa. Odstąpiwszy *Djabła*, przeniósł się do Lwowa. Od starego Dobrzańskiego połknął nie jedną gorzką pigułkę zanim mu dano skromne zajęcie w redakcji. Dobrzański był patrjotą na miarę publiczną, ale osobistych zalet miał tak mało, jak nauki i talentu — wyzyskiwać umiał, nagradzać nie potrafił — ludzi utalentowanych się bał, przyciśniętych potrzebą lekceważył i z wiedzą, lub bezwiednie poniżał — mściwy był, a w stosunkach z pracownikami pióra gbur ze wszystkiemi cechami dorobkiewicza... Gdyby nie zacna żona ś. p. Kleczewskiego, nie miałby chorować o czem, bo astma dusiła go przez szereg lat ostatnich. Ona niegdyś córka kozaka i jedna z najładniejszych kobiet w Warszawie, zarabiała daleko więcej igłą jak mąż piórem...

Gdy Kleczewski był redaktorem w Warszawie *Kurjera Świątecznego* napisał w tem piśmie wierszowaną humorystyczną krytykę wszystkich pism warszawskich — opuścił, jednak, urzędowy *Dziennik Warszawski*, którego Pawliszczew był głównym redaktorem, a zarazem prezesem warszawskiej cenzury. Nie podobało się to ówczesnemu możnowładcy prasowemu — więc przywołał Kleczewskiego i polecił mu, aby napisał także humorystyczną krytykę *Dziennika Warszawskiego*. Kleczewski napisał:

„Szczekać nie sztuka,
Gdy nie ma mundsztuka“...

Nie puścił tego Pawliszczew. — Umarł mając lat 58 — nie był więc ze stary do życia i pracy — ale choroba go zmogła — wegetował tylko... Dzieci zostawił kilkoro — drobnych prac literackich mnóstwo — większych kilka. Jedna jego córka wyszła przed kilku laty za mąż, za naczelnika stacji kolejowej w Jarosławiu. Wdowa po zmarłym polskim literacie prowadzi zakład kroju sukni damskich pod firmą Marie — z niego pielęgnowała męża i wychowywała dzieci — z niego też pobierać będzie emeryturę po polskim dziennikarzu, bo u nas dla wszystkich jest, tylko dla tych, co są czołem i sercem narodu, gdy żyją gorzki chleb — po śmierci dla żon i dzieci — nędza, jeśli rodzinnego majątku nie ma. Gdzieindziej jest inaczej — u nas inaczej — inaczej — inaczej!...

W dniu 24. listopada rozstał się z tym światem w Warszawie, sędziwy uczony i podróżnik Antoni Waga. Nazwisko Wagi od sześćdziesięciu lat prawie znane jest w naszym świecie naukowym — a długie życie uczonego przyrodnika, było nieprzerwanym ciągiem pracy i badań.

Ś. p. Antoni Stanisław Florjan Waga przyszedł na świat we wsi Grabowie, w dzisiejszej gub. Piotrkowskiej, w dniu 8. maja 1799 roku. Kształcił się początkowo w Warszawie, w szkole wojewódzkiej ks. Pijarów i po ukończeniu w roku 1817, zaraz mianowany został nauczycielem w tejże szkole. Dla dalszych studjów w dziedzinie nauk przyrodniczych wysłany został za granicę w roku 1820. Powróciwszy do kraju, wstąpił na wydział filozoficzny ówczesnego Uniwersytetu warszawskiego, który ukończył ze stopniem magistra filozofii. Zaraz po ukończeniu uniwersytetu poświęcił się zawodowi nauczycielskiemu. Niezależnie od pracy obowiązkowej, którą wykonywał sumiennie i z wielką dla uczniów korzyścią, oddawał się samodzielnym badaniom przyrody i prace swe drukiem ogłaszał. Zaprzyjaźniony z zamiłowanym również badaczem przyrody ś. p. Wojciechem Jastrzębowskim, odbywał z nim wspólne wycieczki po krajuj w celu badań naukowych.

Na stanowisku nauczyciela gimnazjum Waga wysłużył emeryturę i odtąd wyłącznie oddał się wędrówkom, uzupełnianiom i konserwowaniu zbiorów naukowych, oraz studjom. Ulubioną jego specjalnością była entomologja, a zbiory owadów, jakie zgromadził, miały niemałą wartość naukową. Już w dość późnym wieku, bo mając 65 lat życia, puścił się Waga w podróż naukową do Afryki; dzięki znajomości, jaka łączyła go z zamiłowanym podróżnikiem, hr. Aleksandrem Branickim. Wycieczki do Afryki powtarzał Waga kilkakrotnie i zawsze przywoził z nich nowe a cenne dla nauki zdobycze.

Znaczna część okazów przez Wagę przywiezionych z Afryki znajduje się we Frascati. Waga pisał wiele, z prac wydanych oddzielnie wymieniamy niektóre: „Rozprawa o naukach przyrodzonych“, „O nowym, szczególnym gatunku pszczołowatego owadu“. „Rzecz o piórze pod względem jego budowy, różnic i użytku“, „Teorja gospodarowania wewnętrznego czyli zbiór wiadomości potrzebnych gospodyniom dla użytku instytutów żeńskich“, „O zwierzętach przez poetów i malarzy zmyślonych“, „Wiadomości z nauk przyrodzonych do użytku szkoły guwernantek“, „Podróż z Berlina do Lipska“, „Historja naturalna“, „Atlas do nauki historji naturalnej z 220 kolorowemi rycinami“ i wiele innych.

W „Tygodniku Illustrowanym“ drukował Waga wyjątek z podróży swych po Afryce: „Pobyt w Kairze“.

Ostatnie lat kilka przepędził sędziwy uczony w Warszawie, zajęty nieustannie porządkowaniem swych zbiorów i studjami naukowemi. Zmarł bez cierpień, prawie nie chorując.

Zacny człowiek, oddany z całym zapałem nauce, której do końca życia był wierny, dawał piękny przykład pracy i wytrwałości.

= Leczenie suchot.

Berliński „Medicinisches Wochenblatt“ wita z zapałem odkrycie prof. Kocha i powiada: „Wszystko dowodzi, że nauka w zakresie leczenia stanęła u progu nowej, niezmiernie szczęśliwej dla siebie epoki“. — Sam wynalazca nowej metody leczenia suchot, dr. Koch, ostrzega przed zbytniem przecenianiem tej metody. Sprawa znajduje się dopiero w początkowym swoim stanie i dotąd kuracji próbowano tylko w lekkich wypadkach choroby. Prof. Koch oznajmia, że chyba po dłuższych doświadczeniach zawiadomi szerszy ogół o wynikach swojego sposobu leczenia, a teraz nikomu nawet z najbliższych przyjaciół nie zdradza tajemnicy.

= Zbytki angielskie.

W Anglji krzewi się bardzo w wyższych sferach moda jedzenia kwiatów. Przyrządzają z nich potrawy eteryczne, woniejące, zdolne przynęcić pszczółkę i motylka, a idące pod długie zęby londyńskiah m i l a d y s. Omlety z fiołkami, kremy lawendowe, pudingi z hiacyntów i paszteciki z magnolij, pojawiają się na każdym bardzo modnym i bardzo wyszukanym stole. A co tu powiedzieć na konfitury z konwalij, galaretki z bzu i kokilki z piwonij? Moda tak dobra i tak dziwaczna, jak inna, jednak „antofologia“ czyli kwiatojedztwo, czy tam kwiatożerstwo, nie jest rzeczą nową. Wszakże jedząc soczyste karczochy, albo kalafiory, nie co innego jemy tylko kwiaty. We Francji oddawna podają pączki z kwiatem akacji we środku, zamiast konfitur. Wśród tak zwanych korzeni, gwoździk i anyż, to kwiaty. W grzybach, które tak nam smakują, jadamy części kwiatowe tej rośliny. A ileż to kwiatów używają apteki, jak rozmaite kwiaty pijamy w odwarach na lekarstwo! Nic więc nowego pod słońcem.

= Stary afisz.

Afisz z roku 1734, zachowany, jako osobliwość w muzeum w Brunświku, zawiera następujące ostrzeżenie:

U krawcowej.



— Chciałem jeszcze zrobić uwagę pani, że moja żona tyje, więc możeby obszerniej robić;...

— Pan dobrodziej powinien być zadowolony, że pani co raz lepiej wygląda...

— Ja jestem zadowolony z wyglądania mojej żony — ale byłbym również bardzo zadowolony, gdyby tak często nie odwiedzały mnie rachunki pani... także dobrze wyglądające...

„Dla większej wygody publiczności widzowie zajmujący pierwsze rzędy, powinni leżeć na ziemi, w drugich rzędach klęczeć, w trzecich siedzieć, w czwartych stać, tak, iżby wszyscy mogli widzieć scenę. Śmiech jest wzbroniony, albowiem niniejsze przedstawienie jest tragedją“.

= Koch i suchoty!...

Cuda bo opowiadają ludzie o tej kochowskiej metodzie leczenia, której, mówiąc nawiasem, nikt jeszcze nie zna, gdyż wynalazca dotąd trzyma ją w tajemnicy, do której tylko zięć jego i jeden wierny sługa są przypuszczeni. Mówią, że ma ona wypędzać chorobę doraźnie, na poczekaniu; że ma być skuteczną nie tylko na suchoty, ale, że stanowić ma ogólne *panaceum* przeciw wszelkim dolegliwościom, takim jak cholera, dyfteritis i t. d. i t. d; że środek, którym ona się posługuje niema nic wspólnego ze środkami dotąd w medycynie praktykowanymi, ale że jest zupełnie nowym Kocha wynalazkiem.. Utrzymują, że na podstawie tych opowiadań, pruski minister oświecenia, z góry, na niewidzialne zażądał funduszów na wzniesienie Kochowi instytutu takiego, jaki wzniesiono w Paryżu Pasteurowi.

I kto wie, czy nie tu tkwi sedno gwałtownej sławy Kocha. Niemcy nie mogli francuzom strawić ich Pasteura; postanowili mieć Pasteura własnego i zamianowali nim Kocha. A trzeba wiedzieć, że ci dwaj panowie nie czują do siebie wielkiej sympatji, często różnią się w swoich poglądach, a nawet przed paru laty, na kongresie hygienistów w Genewie, osobiście ostro się starli. Obecnie zatem Koch ma przed sobą dwie alternatywy: albo jego metoda okaże się taką, jak o niej opowiadają, a w takim razie udziałem jego będzie tryumf nad tryumfami—albo też czeka go straszliwe fiasco, na które może nawet nie zasłuży, ale które zgotowali mu ci, co niestworzone rzeczy o nim wprzód głosili. W zwykłych warunkach Koch miałby w każdym razie wielką już zasługę, że przez kilkanaście lat wytrwale zdążał do celu, mającego przynieść wielką ulgę ludzkości; w zwykłych warunkach imię jego okryłby szacunek powszechny, nawet gdyby mu się to co, zamierzał nie zupełnie udało; — dzisiaj, połowiczne powodzeni nie wystarczy, na nic się nie zda.. *Aut — aut!*

Co do nas, to choćby nie przez wzgląd na niego, ale przez wzgląd na ludzkość, życzymy Kochowi najlepszego powodzenia; obawiamy się jednak o nie mocno. Ta bajka Krasickiego, w której powiedziano: „Gdzie nadto przygotowań, tam nic z djalogu!...“ trapi nas, jak zmora w dzień i w nocy. Bodajby trwoga nasza okazała się daremną!..

Dla pociechy własnej i wszystkich suchotników, choleryków, dyfteryciarzy i t. d. zaznaczyć winniśmy, że Dr. Koch doświadczenia swoje, które zrazu przeprowadzał na zwierzętach, przeniósł już na ludzi, i że w szpitalu berlińskim, „Charité“ leczy swoją metodą kilku suchotników, z których dwóch, jeśli można wierzyć telegramom berlińskim, miało już zupełnie wyzdrowieć, a reszta znajduje się w stanie rekonwalescencji.

Pomagaj Boże! w sprawach, w których chodzi o całą ludzkość, wszystko nam jedno: Pasteur, czy Koch, byle przyniósł ulgę rzeczywistą!...

= Jan Orth.

Losy Jana Ortha zajmują w tej chwili całą Europę, a właściwie arcyksięcia Jana Salwatora o którym wiadomo, iż zrzekł się wszelkich tytułów i pod przybranem nazwiskiem zaciągnął się, jako kapitan w służbę marynarki kupieckiej. Otóż, ten Jan Orth, zabrawszy na swój okręt ładunek guana, w początkach lipca wypłynął z Montevideo do Valparaiso, i — odtąd słuch o nim zaginął. Niema wprawdzie dotąd dowodu, że utonął, ale do Valparaiso nie przybył; w czasie, w którym powinien był przylądek Horn opłynąć, srożyły się na tamtejszych wodach straszliwe burze, które trwały prawie przez cały lipiec, wreszcie jeden z okrętów szwedzkich napotkał około przylądka szczątki kilku okrętów rozbitych, a między nimi fllagę austrjacką, pod którą właśnie płynął okręt Ortha. Katastrofa zatem zdaje się nie ulegać wątpliwości, tembardziej, że gdyby niefortunny żeglarz był ocalał, byłby do tego czasu w jakibądź sposób dał o sobie wiadomość.

Teatr.

Dalsze występy pani Modrzejewskiej na lwowskiej scenie pochłonęły zupełnie cały repertoar i tylko jeden *Biedny Jonatan* pomiędzy jednym występem, a drugim, rozweselał zadumaną, rozmarzoną i rozentuzjazmowaną publiczność... Pani Modrzejewska gra także na sercach tej publiczności, jak za dawnych czasów... Talent to ze spiżu i ciało ze stali, choć niby eteryczne i czasami wydaje się tak wątłe... Przesunęły się więc znowu w grze pani Modrzejewskiej postacie z *Walka kobiet*, *Marji Stuart* Szylera, *Damy z kamelją*, *Makbet*, *Dalili*, *Barbary Radziwiłłówny*. — Niektóre z tych „sztuk“, jak przedtem *Adrjana Lecovreur* i potem *Dama z kamelją*, mogłyby już na zawsze być wyrzucone na strych... Katarynkowa *Trawiata* ratuje się, przynajmniej, śpiewem, gadana zaś z „osiwiałym ojcem starym“ jest cała tak banalna i sztucznie tragiczna, że człowiek zmuszony słuchać tego wszystkiego, ziewa sobie, jak na najpoważniejszej komedji niemieckiej, albo się śmieje..

Artyści nasi biorący udział w gościnnych występach pani Modrzejewskiej trzymali się, jak mogli, a trzeba powiedzieć, że wszystko to role, z małym wyjątkiem, dla nich nowe i, że prób było bardzo mało, bo nie ma czasu. Po szczególe nad grą ich zastanawiać się nie możemy, wspomnieć, jednak, uważamy sobie za obowiązek, że, oprócz przepysznej gry p. Kwiecińskiego szczególniej w *Walce kobiet* i *Dalili*, odznaczył się przedewszystkiem ciepłą i pełną temperamentu grą p. Zawadzki w *Marji Stuart*, a nadto na wyróżnienie zasługują pp.: Zboiński, Chmieliński, Szobert, oraz panie: Kwiecińska, Nowakowska, Czaplińska i Cichocka.

Gościnne swoje występy zakończyła Modrzejewska powtórzeniem kilku sztuk poprzednio granych, oraz *Odettą* i Szekspira *Wiele hałasu o nic;* nadto, deklamowała i grała w amatorskiem na cel dobroczynny przedstawieniu *Białą kamelję* w pałacu namiestnikowskim, oraz deklamowała jeszcze w „Sokole“ dla dublańczyków. Wspominać zaledwie należy, że wszystkie występy Modrzejewskiej odwiedzane były tłumnie — biletów trudno było dostać. Gra jej robiła wielkie, acz nie we wszystkich sztukach równe wrażenie Talent to ogromny — skaz na nim jeszcze nie widać — wyjątkowa, prawdziwie, organizacja duchowa i cielesna...

Oprócz wzmianki o powyżej wymienionych naszych artystach i artystkach grających z Modrzejewską — nie wiele więcej powiedzieć możemy pomimo nawet, że *Wiele hałasu o nic* było u nas *premierą*. Dorywcza to gra, bez dostatecznych prób — rozbraja krytykę.. Ale uwidoczniało się, jednak, zatracenie dobrego mówienia pięknych wierszy — Feliński pewnie jęczał w grobie nad swoją *Barbarą Radziwiłłówną* — pocieszył go chyba tylko p. Chmieliński i p. Zboiński.. Do niektórych, zwłaszcza z tej najmłodszej, najświeższej, czupurnej generacji — szczęście, że kto nie strzelił z rewolweru... Uczyć się trzeba, a tu się nie chce i prawdę powiedziawszy, nie ma kto. a jeśli jest to także nie chce, bo, albo nie ma czasu, albo woli trzymać groch w kieszeni, zamiast go rzucać na ścianę...

Wracamy jeszcze do pani Modrzejewskiej i dzielimy się z czytelnikami naszymi następującymi szczegółami:

Artystka wyjeżdża na gościnne występy do Krakowa, Warszawy, Łodzi, prawdopodobnie do Petersburga, gdzie jest polski teatr, potem do Pragi, gdzie będzie grała po polsku z czeskimi artystami, potem do Wiednia i Berlina, w których to miastach grać będzie po angielsku z niemieckim otoczeniem — następnie do Londynu na szereg gościnnych występów, a w końcu udaje się do Ameryki zkąd uporządkowawszy swoje interesa, wraca na stały pobyt do Polski i osiedli się w ukochanym swoim Krakowie?...

Otrzymaliśmy kilka listów z zapytaniem, ile pani Modrzejewska ma lat...

Odpowiadamy więc na tem miejscu, że są kobiety, a szczególniej też artystki, które bardzo długo nie mają lat wcale...

Uzupełniając to wszystko, cośmy powyżej powiedzieli — dodajemy jeszcze, że w przedstawieniu na cel dobroczynny w pałacu namiestnikowskim, oprócz pani Modrzejewskiej, śpiewała z wielkim powodzeniem pani Camillowa, i amator p. Styka znany artysta-malarz; nadto, deklamowała po francusku pani hrabina Stadnicka i inni amatorowie. Osób znajdowało się około 250.

Oprócz tego pani Modrzejewska deklamowała jeszcze w poranku muzycznym *dla głodnych dzieci* na Dublańczyków w „Sokole“ i jeszcze na jednym, czy dwóch koncertach dobroczynnych. W chwili, gdy to piszemy zainicjowane jest popołudniowe przedstawienie z udziałem pani Modrzejewskiej na uzupełnienie składki emerytalnej dla państwa Linkowskich i... bankiet artystów i artystek na cześć Modrzejewskiej, na którym, oczywiście; wino, łzy, śmiech i frazesów z pięć fur — to główne role — reszta tak, jak na bankietach: po brodzie się lało w gębie nie postało, w sercu zaczmyrało...

I tak się zakończyły święta artystyczne, które można nazwać: *Modrzejewska we Lwowie.*

Małżeństwa przymusowe.

Pod tym tytułem *Echo* (polskie), wychodzące w Buffallo w Ameryce zamieszcza artykuł obszerniejszy, z którego wyjątek podajemy. Ze względu na gorączkę emigracyjną, która grasuje na ziemiach polskich wszelkie objaśnienia o tem, jak, rzeczywiście, z bliska wygląda to, co się z daleka świeci — są bardzo pożądane. Oto, co między innemi, wspomniane pismo mówi:

Wiemy wszyscy, jak wygląda w rzeczywistości owa sławna „wolność“ amerykańska.

Kraj, w którym obywatel nie ma prawa napić się szklanki piwa w niedzielę, w którym nie wolno mu przesłać pocztą pewnych książek, uznanych za moralne przez resztę świata, w którym bogacz jest królem i bożkiem prawie — a bieda, choćby niezasłużona, uważaną jest za występek; — kraj taki nie jest chyba rajem dla prawdziwych zwolenników swobody!

Najbardziej jednak rażącym dowodem niewolnictwa tutejszego jest ta okoliczność, że według praw, obowiązujących we wszystkich stanach naszych, można zmusić człowieka do zawarcia ślubów małżeńskich.

Sama myśl podobnego przymusu wydawałaby się w Europie śmieszną, potworną, niemoralną! Jakto? Czyż można rozkazać sercu; czy podobna siłą stwarzać związek, który z natury rzeczy polega na wolnej woli; czy ma kto prawo łączyć najściślejszymi węzły ludzi, mających do siebie wstręt, lub nienawiść!? Co za skutki mogą wyniknąć z takiego przymusu dla potomstwa zniewolonych, dla narodu, dla społeczeństwa ludzkiego w ogóle!?

Tych pytań nie zadawali sobie jednak legislatorzy amerykańscy. Dla nich śluby małżeńskie, jak wszystko zresztą, to widocznie prosty tylko interes, „business,“ kontrakt handlowy, w którym chodzi o to jedynie, by zapewnić stronom korzyści materjalne.

Przywiązanie, miłość, lub choćby tylko sympatja wcale do współki tej nie są potrzebne, według prawodawców tutejszych!

Co więcej, nawet ze stanowiska czysto finansowego, nasze amerykańskie prawa małżeńskie nie wytrzymują krytyki. Okazuje się bowiem, że jedna ze stron, mianowicie kobieta jest uprzywiljowaną, że płeć piękna ma nieracjonalną przewagę nad swym brzydkim partnerem.

Dość, by mężczyzna w najniewinniejszej myśli zbliżył się do kobiety, a już pozostaje on zupełnie na jej łasce. Jeżeli ona go sobie upodoba za męża, to już nie ma ratunku dla biednej ofiary.

Choćby po bliższem poznaniu przekonał się, że bogini jego serca nie odpowiada wcale wymarzonemu przez niego ideałowi, albo, że panna lub pani, z którą zawiązał znajomość celem zbadania jej kwalifikacyj moralnych, lub intelektualnych — jest wprost niemożliwą, nieznośną — to już wyjścia nie ma! Nie pomoże ci nic, żeń się przyjacielu, lub czekaj za kratkami więziennemi tak długo, póki cię twoja prześladowczyni nie zwolni, lub dopóki nie zgodzisz się na to, by sędzia was połączył za pomocą formułki prawnej i całusa wyciśniętego na licach twej nielubianej oblubienicy!...

Tak było dotąd i tak pozostanie jeszcze pewnie przez czas niejaki w Stanach Zjednoczonych Północnej Ameryki! Powoli jednak prądy lepsze zaczynają dostawać się na tę pustynię moralną. Budzi się i tu poczucie, że prawa przymusowe są niestosownemi i niemoralnemi, że je tedy znieść należy jak najprędzej!

Praktyczne wiadomości.

W Zgorzelicach biuro patentowe i techniczne Lüdersa podaje sposób, jakim można uzyskać światełko do oświetlania magazynów, napełnionych materjałami wybuchającymi, zabezpieczające od pożaru. Bierze się podłużną buteleczkę z białego szkła, wpuszcza kawałek fosforu wielkości ziarnka grochu, na to nalewa się czystej oliwy, rozgrzanej do wrzenia i napełnia tą wrzącą oliwą buteleczkę do 1/3 zawartości i silnie się ją korkuje. Gdy buteleczka ma światłem zajaśnieć, odkorkuje się ją na krótko, potem znów silnie zakorkować należy. Odtąd cała próżnia w buteleczce zajaśnieje dość silnem światłem — gdy to nieco osłabnie, wystarcza tylko buteleczkę odkorkować i wpuściwszy świeżego powietrza, znów zakorkować. Gdy mróz panuje, należy buteleczkę w ręku rozgrzać, by oliwa zmarznięta odtajała. Światełko to można bezpiecznie nosić w kieszeni. Warto spróbować.

Jak łatwym, a tanim sposobem mieć można w zimie kalafiory. Jeżeli są inspekta, to najpierw wybierze się ziemię, a potem tą starą mierzwą okłada się boki skrzyni. Wykopują się z gruntu te kalafiory, które wcale nie zaczynają się zawiązywać. Z ziemi, która się ich trzyma, ile możności nie otrzepywać, liście do połowy trzeba obłamać od dołu, ażeby się mogło więcej w skrzynię wpakować. Potem dołuje się do 50 sztuk w jedno okno, tak że w skrzynią na cztery okna może się wsadzić 200 sztuk. W jesieni, przy ciepłych dniach, albo deszczu najlepiej im będzie, gdy będą okryte, gdyby się zanosiło na mróz, przykrywa się oknami, albo deskami i tak długo się je zostawia, dopóki nie muszą być przykryte liściem, albo mierzwą od większego mrozu.

W ten sposób zimowania zabezpieczyć się można na całą zimę w kalafiory, a są o wiele lepsze i piękniejsze aniżeli z gruntu. Wrazie, gdyby nie było inspektów, może się wykopać rów odpowiedniej szerokości i głębokości i tak samo jak wyżej wspomniane zachować. Na wierzch kładzie się drążki na poprzek rowu dosyć gęsto, aby liście, lub mierzwa nie wpadały.

Można także przechować w obszernej piwnicy, lecz tylko takie, które już mają zawiązane kwiaty; w piwnicy o tyle nie dogodnie, że często ulegają zepsuciu od wilgoci, albo zwiędnięciu i przez to tracą na swej delikatności.

Najlepsze do przechowania są kalafiory włoskie późne („Italienische Riesen"). Trzeba przedewszystkiem wiedzieć, że się je należy jak najrzadziej na zagonie sadzić, aby uzyskać grube i niskie łodygi, bo im grubsza łodyga, tem piękniejszy kwiat będzie.

Fr. Pawlaczyk.

Drobnostki humorystyczne.

Życzenia.

— Ja pojadę po ślubie z mężem do Włoch.

— A ja do Szwajcarji.

— A ja tam — mówi trzecia — gdzie są tunele.

...Owoc dojrzały — kobieta dojrzała — upadają łatwo...

Obejdzie się...

— Moja kochana, skoro masz dziecko wsadzić do wanienki — powinnaś najprzód włożyć termometr do wody.

— A to na co?

— Aby się przekonać, czy nie jest woda za gorąca, lub za zimna...

— E, po co to te wszystkie ceregiele, proszę wielmożnej pani, jak woda za gorąca, to dziecko czerwienieje, a jak za zimno, to blednieje — a mnie na co jakiś tam termometr — nie mam w rękach dziecka, czy co?...

Na egzaminie.

— No powiedzże mi mój chłopcze, czy niewiesz o jakim zwierzęciu, które nie ma zębów?

— Wiem.

— Jakież to?

— Moja babcia...

Filozofja także...

— Tak kochany przyjacielu, cała tajemnica życia, jest kłamać, kłamać i tylko kłamać...

— O tak — to jedyna jest tylko prawda...

W restauracji.

— Pan lubi żaby?

— Ale panie, zjadam ich całe gromady...

— Może pan pochodzi z rodziny bocianów?

— Nie panie — jestem Żabicki...

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

Pan Blumenfeld, młyn parowy w Stanisławowie. Należy nam się za październik i listopad 1 złr. 40 ct. O odesłanie tej kwoty prosimy.

Pan Teichman w Horodence. Numera, które pana nie doszły, czy też zagubione zostały, stosownie do życzenia wysłaliśmy.

Pan Prenumerator w Poznaniu. Bliższych szczegółów o zatargach, czy coś podobnego p. Strzemczyka w przedsiębiorstwie wapienników barona Graevego, nie znamy. Sprawa to, zresztą, osobista, a o ile wiemy, pan Strzemczyk bronił się tylko w inseratach *Kurjera Lwowskiego.*

Autorom wierszy: „Do...", „Zima idzie", „Panna z parasolką", „Miłość bogatego młodzieńca", i „Herbatki" — utwory panów drukowane nie będą.

Wny Bartkowski, profesor w Samborze. Nie możemy korzystać z propozycji pańsktej.

Nadesłane.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.

Illustracje odbite w litografji A. Przyszlaka we Lwowie, ulica Kopernika l. 9.